Nr. 36. Sobota, dnia 2-go września 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dwunastą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z drugiego listu św. Pawła do Koryntyan, rozdział III, wiersz 4—9.

Bracia! Mamy takie ufanie w Bogu przez Chrystusa, nie iżbyśmy byli dostateczni sami z siebie co myślić, jako sami z siebie, ale dostateczność nasza z Boga jest: który też uczynił nas godnymi sługami nowego testamentu nie literą, ale Duchem: bo litera zabija, a Duch ożywia. A jeślić posługowanie śmierci literami wyrażone na kamieniach, było w chwale, tak, iż synowie Izraelowi nie mogli patrzeć na oblicze Mojżeszowe, dla chwały oblicza jego, która niszczeje; jakoż nie więcej posługowanie ducha w chwale, daleko więcej posługowanie potępienia jest chwałą, daleko więcej posługowanie sprawiedliwości obfituje w chwale.

EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział X, wiersz 23—37.

Onego czasu rzekł Pan Jezus uczniom Swoim: Błogosławione oczy, które widzą to, co wy widzicie. Bo powiadam wam, iż wiele Proroków i Królów żądali widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli; i słyszeć, co wy słyszycie, a nie słyszeli. A oto niektóry w zakonie powstał, kusząc Go, mówiąc: Nauczycielu, co czyniąc dostąpię żywota wiecznego? A on rzekł do niego: W zakonie co napisano? jako czytasz? A on odpowiadając, rzekł: Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkich sił twoich, i ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego twego, jako siebie samego. I rzekł mu: Dobrześ odpowiedział; to czyń, a będzie żył. A on chcąc się sam usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest mój bliźni? A przejąwszy rzecz jego Jezus, rzekł: Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycha i wpadł między zbójce, którzy go złupili, i rany mu zadawszy, odeszli, na poły umarłego zostawiwszy. I przydało się, że niektóry kapłan zstępował tąż drogą, a ujrzawszy go, minął. Także i Lewita, będąc podle onego miejsca i widząc go, minął. A Samarytan niektóry jadąc, przyszedł ku niemu i ujrzawszy go, ulitował się. A przystąpiwszy, zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina; a włożywszy go na bydlę swoje, wprowadził do gospody, i miał pieczę o nim. A nazajutrz, wyjąwszy dwa srebrne grosze, dał gospodarzowi, i rzekł: Weźmij go na swą opiekę; a cokolwiek nadto wydasz, ja gdy się wrócę, oddam tobie. Któryż z tych trzech zda się tobie bliźnim być onemu, co wpadł między zbójce? A on rzekł: Który uczynił miłosierdzie nad nim. I rzekł mu Jezus: Idźże, i ty czyń podobnie.

NAUKA

„Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie.” Porównuje Pan Jezus położenie Apostołów z tymi, co żyli przed nimi, i nazywa ich błogosławionymi z tego powodu, że doczekali się tego, czego tamci tylko się spodziewali, mianowicie doczekali się przyścia Pana Jezusa, widzieli na własne oczy Jego cuda; nadto słyszeli, a co najważniejsza przyjęli i zachowali Jego naukę i za to otrzymali z własnych ust Jego tę wielką obietnicę: „Weselcie się, że imiona wasze napisane są w niebiesiech”. Ale błogosławieni i my, nad pogany, którzy o Panu Jezusie nic nie wiedzą i dlatego „w cieniu śmierci siedzą”; błogosławieniśmy też nad wielu chrześcian naszych spółczesnych, co widzą i słyszą Kościół a przecież nie wierzą: błogosławieniśmy wreszcie nad tych, co żyli za czasów Pana Jezusa, bo widzimy to, czego oni nie widzieli, iż świat stał się chrześciańskim, że Kościół św. nie tylko jest założonym, ale że i przetrwał tyle i tak wielkich burz i przez tyle wieków zawsze wychodził z nich zwycięsko; to zaś dziwnie utwierdza nas w wierze, a nic nie ujmuje onemu błogosławieństwu, także odnoszącemu się do nas, cośmy Pana Jezusa chodzącego na ziemi nie widzieli: „Błogosławieni, którzy nie widzieli a uwierzyli.”

W niedobrym zamiarze, „kusząc”, ale dobre jednak stawia pytanie ten „biegły w zakonie: co czyniąc, odziedziczę żywot wieczny?” To pytanie często i my stawiać sobie powinniśmy, zwłaszcza wtenczas, ilekroć mamy cokolwiek ważniejszego postanowić. Masz np. postanowić, czy z taką a taką ożenić się albo nie; pytasz się wtedy, ile ona ma majątku, czy urodziwa, jakie ma pokrewieństwo itd. itd., ale najważniejsze pytanie: „co czyniąc”, żeniąc się z nią, albo nie żeniąc, łatwiej i bezpieczniej „dostąpisz zbawienia wiecznego?” To pytanie całkiem pomijasz, albo zupełnie pobieżnie na nie sobie odpowiadasz. Podobnież bywa, kiedy kto się ma decydować, czy przyjąć lub starać się o jakiś urząd albo służbę, czy przenieść się do miasta, albo nawet gdzieś za morze do dalekich krajów. Czemu tak się dzieje? Bo większa część ludzi więcej dba o pożytki i powodzenie doczesne, niż o żywot wieczny, a mało kto idzie za tym głosem Bożym: „Szukajcież tedy najprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano.”

Doskonale, tak jak przystało na człowieka biegłego w Piśmie, odpowiedział faryzeusz, że aby dostać się do nieba, Pismo św. wymaga od wszystkich miłości Boga i bliźniego, i Pan Jezus chwali go za to: „dobrześ powiedział”. Miłość Pana Boga polega 1) na tem, żeby Go cenić tak jak na to zasługuje, a więc nadewszystko, bo nie masz jak Bóg! Cokolwiek może być wielkiem, potężnem, mądrem, zacnem, dobrem, pięknem, lub pod jakimkolwiek względem cennem — większym, potężniejszym, mędrszym, zacniejszym, lepszym, piękniejszym i ze wszech miar nieskończenie doskonalszym jest Pan i Bóg nasz. Ceniąc Pana Boga nadewszystko, rozumiemy, że On jest pierwszym i pierwsze też wszedzie i zawsze miejsce Je-

na i tylko Jemu się należy; a jeżeli wola idzie za tem rozumieniem, to pragnie i chce ze wszystkiego serca, ze wszystkiej duszy, ze wszystkich sił, żeby On i wyłącznie On rzeczywiście też zajmował pierwsze miejsce we wszystkich myślach naszych, we wszystkiem mówieniu i milczeniu naszem, we wszystkiem działaniu i odpoczywaniu naszem, a nawet w marzeniach naszych i w samej jeszcze śmierci naszej. To cenienie Boga nadewszystko czyli uwielbienie Boga jest fundamentem miłości Bożej, samo zaś koniecznie potrzebuje opierać się na należytej znajomości Boga; bo jakże cenić i uwielbiać kogoś, którego nie znam wcale, albo niedostatecznie tylko znam. Miłość Boga polega 2) na życzliwości dla Niego szczerej, dzielnej, posuwającej się aż do poświęcenia i ofiarności choćby bezgranicznej. Życzliwość ta sprawia, że z jednej strony pragniemy i staramy się oszczędzić Mu wszelkiej przykrości, a cóż dopiero zniewagi i krzywdy, a z drugiej strony pragniemy i staramy się Mu wygodzić we wszystkiem, co tylko możemy i czegokolwiek On od nas żąda lub spodziewa się. Dlatego to mówi Pan Jezus: „Kto ma przykazanie moje i zachowywa je, ten jest, który mnie miłuje," to znaczy, że prawdziwym dowodem miłości jest dopiero chowanie przykazań czyli strzeżenie się złego, a czynienie dobrze ze względu na Boga. Miłość Boga polega wreszcie 3) na pragnieniu posiadania Boga w tem życiu przez łaskę poświęcającą, a w przyszłem przez chwałę wiekuistą, oraz też należenie zupełne do Boga. Wglądnij w siebie, czy kochasz Pana Boga, czy cenisz i uwielbiasz Go nadewszystko? Czy starasz się, żeby nie obrazić Go śmiertelnym, nie zasmucić powszednim grzechem? Czy Pan Bóg u ciebie jest na pierwszem miejscu i czy zajmuje pierwsze miejsce w myślach i marzeniach twoich, w słowach i czynach twoich? Czy pragniesz należeć do Pana Boga i być zależnym od Niego? Czy wreszcie tęsknisz do Niego i do nieba Jego?

Miłość bliźniego podobnież polega 1) na tem, żeby go szanować i cenić tak jak chcemy, żeby bliźni nas szanowali i cenili, chociaż wiemy doskonale, że obok pewnych zalet mamy dużo rozmaitych niedostatków, owszem podobno o żadnym z bliźnich nie wiem na pewne tyle złego, co o sobie samym; a przecież miłość własna sprawia, że na wszelkie wady, grzechy i występki własne umiemy znaleźć jakąś wymówkę, a nieraz nawet i to, że wielu wad swoich wcale nie spostrzegamy. Dlatego to Pan Jezus tak bardzo nakazuje: „nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni", bo wie, że nic tak nie niweczy miłości i podstawy jej, szacunku dla bliźniego, jak sądzenie, krytykowanie, obmowa. 2) Istotą miłości, jest to usposobienie, że ze szczerego serca mówię sobie: jak mnie tam z wami albo z tobą, to zdaję na Boga i na was, na ciebie: byle wam, byle tobie, było ze mną o ile możności nieźle, o ile możności dobrze i jak najlepiej w tem i w przyszłem życiu. Ta życzliwość sprawia, że staramy się bliźnim oszczędzać przykrości, a więcej jeszcze wszelkiej szkody na duszy i na ciele, że choćby kosztem własnych wygód i dogodności usiłuję tym, których kocham gładzić i ułatwiać i życie i drogę do nieba. 3) Szczytem miłości, a taka powinna być między mężem a żoną, między członkami jednej rodziny, między przyjaciółmi itp., jest pragnienie należenia do siebie nawzajem. Biedny to człowiek, co nie umie kochać ani Boga, ani bliźnich, ani nikogo, jeno samego siebie.

Kto zaś jest bliźnim naszym, na to odpowiada dzisiejsza przypowieść o Samarytaninie, że każdy czy swój, czy też obcy, każdy bez wyjątku co potrzebuje mojej jakiejkolwiek pomocy i ofiarności, ten jest bliźnim moim i tego miłować powinienem. X. J.

Ojczyzna! to Matka, co tuli do łona
Swe dzieci kochane, ich szczęścia spragniona,
Istnienie im dała, swem mlekiem karmiła
W miłości też synów jej przyszłość i siła;
Tak to jest ojczyzna... w tem mieści się słowie,
Co serce kochając przez usta wypowie,
Tam dla nas powinność... tam dla nas świat cały,
Świat wspomnień, nadziei, poświęceń i chwały.

Kalikst Wolski.

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

XXV.

Jasiek patrzał długo za oddalającymi się, wzruszył pogardliwie ramionami i szepnął:

— Jeżeli Pan Bóg jest sprawiedliwy, to ten niedołęga powinien zły numer wyciągnąć!

Kiedy już weszli do merostwa, poszedł za nimi, nie mogąc pokonać pewnego wzruszenia na myśl, że jeżeli Piotruś pójdzie do wojska, to Milcia będzie wolną. Wszedł do sali, gdzie się odbywało losowanie i zaraz spostrzegł Placyda, rozmawiającego z widocznie pognębionym Piotrusiem.

— O już co ten — pomyślał sobie — to pewno nie zjedna sobie losu swoją nieszczęśliwą miną.

Obejrzał się i o kilka kroków zobaczył Filipa, jednego ze swych przyjaciół szynkownianych, którego tu również ciekawość sprowadziła.

— A co — rzekł podszedłszy do niego — pamiętasz, com ci mówił niedawno o Pietrku? Patrz tylko, jak blady; już mu dusza na ramieniu siedzi.

— Nie ma przecie jeszcze czego rozpaczać — odpowiedział tamten — jeszcze klamka nie zapadła.

— Ba, to nic nie znaczy! Tacy panicze, co to przy dziewczynie udają zuchów, to najwięksi są tchórze.

— Cicho bądź! — szepnął Filip. — Mogą nas podsłuchać.

W tej chwili właśnie mer przeczytał z listy nazwisko Piotrusia, który też podszedł do stołu.

Biedny chłopiec czynił, co mógł, aby tylko nie zdradzić swego niepokoju, a gdy włożył rękę do urny, rzucił na Placyda spojrzenie, w którym zbiegły się wszystkie dręczące go obawy.

Placyd odpowiedział mu zachęcającem skinieniem głowy.

Narzeczony Milci wyjął kartkę z urny i podał ją merowi.

— Numer trzeci! — wygłosił poważnie urzędnik, a jednogłośnie wyraźny szmer niezadowolenia rozległ się w sali.

Piotruś stał jakby skamieniały. Placyd zatrząsł się z gniewu i zaklął energicznie.

— Wiwat trójka! — zawołał już za drzwiami uradowany Jasiek, ciągnąc za sobą Filipa. — Milka owdowiała przed ślubem! Chodź Filipku! Kupię ci butelkę takiego wina, jakiegoś jeszcze w życiu swojem nie pił! Niech żyje trójka!

XXVI.

— No — mówił zasmucony Piotruś, wracając z Placydem do La Queyrie — trzeba przyznać, że nie należę do rzędu ludzi, którym los sprzyja. Wszystko się już dla mnie skończyło. Ani Lorinowie, ani stary Terrade nie są dość bogaci, aby się mogli zdobyć na taką ogromną sumę. Ja nic nie mam. Trzeba będzie iść w świat!

— Kto to wie jeszcze — przerwał mu Placyd — a superrewizya?

— Eh! — machnął ręką Piotruś. — Na to nie ma co liczyć.

— To prawda, że musiałby się dobrze namyśleć, ktoby chciał cię nazwać niezdatnym do wojska.

— Doprawdy, rozumiem teraz tych, co sobie ucinają palec u ręki, aby się uwolnić!

— To zła myśl, mój kochany — zaprotestował kawalerzysta. — Wezmą cię i bez palca i w dodatku poślą na siedm lat kompanii karnej w Algierze. Miła historya! Nie powiadam, żeby w Algierze miało być nieprzyjemnie... broń Boże, owszem niebo piękne, wspaniałe drzewa, kraj wogóle ładny, ale zawsze siedm lat kary, to nie żarty!... Spodziewam się, że na seryo o tem nie myślisz?

— Nie, nie! Sam już nie wiem, co mówię! Ale też przyznaj, Placydzie, że porzucić Milkę, to się śmierci równa! A co ona, biedaczka, pocznie?

— Tak samo będzie płakać, jak i ty, mój Piotrusiu... Ale czy to już nie ma innego wyjścia! Nie trać odwagi; pójdzie się do pana mera, do księdza proboszcza i do pana sędziego; postaramy się o protekcyę, może się da pożyczkę zaciągnąć, czyż ja wiem? Nie ma jeszcze nic straconego, dopóki nie dźwigasz tornistra na plecach ani karabina na ramieniu. Może zajść jeszcze jaki szczęśliwy wypadek. Kto wie? Dziwniejsze już rzeczy widziano na świecie... Zastanów się tylko, Piotrusiu, a przekonasz się sam, że jeszcze niema czego rozpaczać.

Piotruś popatrzał zdumiony na Placyda, bo słowa ex-żołnierza niezwykłym brzmiały akcentem. Zdawało się, iż nie chce się wygadać, a to, co mówił, wyrywało mu się tylko z ust pod wpływem wzruszenia. Blady był, ale uśmiechał się i usiłował nadrobić miną, tak, że nawet Piotruś, pomimo swego strapienia, nie mógł nie dostrzedz, że brat Milci pod pozornym spokojem ukrywał silne wzruszenie.

— Co tobie jest, Placydzie?... bo widzę, żeś bardzo zmieniony — pytał go z serdeczną troskliwością.

— Zdaje ci się... nic mi nie jest. Cóżby być mogło? Pragnę cię uspokoić, więcej nic. Powiadam ci, że nie masz czego rozpaczać, i to jest święta prawda!... Alboż to raz widziano, że niespodzianie płacz w śmiech się obraca? Mnie nic nie jest, chybabym się martwił o ciebie, ale i to nie, bo nie wiem dlaczego, ale pewny jestem, że do wojska nie pójdziesz.

Piotruś nic na to nie odpowiedział i Placyd także nie odzywał się już wcale aż do domu, gdzie zastali całą rodzinę we łzach i przerażeniu.

Wiedzieli już o smutnym rezultacie losowania.

Jasiek to wysłał chłopaka do La Queyrie z wiadomością, jaki numer wyciągnął Piotruś.

— Masz tu pięć centimów za drogę — mówił do niego — tylko się nie wygadaj, że to ja cię posłałem.

— A to dlaczego? — zapytał Felix.

— Bo, widzisz, nie chciałbym w oczach Milki uchodzić za złowróżbnego ptaka, a znowu sprawia mi to prawdziwą przyjemność, że ona przeżemnie dowie się o tej niespodziance. Jużto taka moja zasada, że zawsze zabezpieczam się na obydwie strony.

W samej rzeczy, Jasiek był sprytnym chłopakiem. Na nieszczęście, pod wpływem namiętności opuszczał go wrodzony dowcip i przebiegłość, wiadomo zaś, że tak gwałtowny jak jego charakter, pozostawiony bez odpowiedniego hamulca, nigdy do dobrego nie prowadzi.

XXVII.

Nazajutrz około południa, Jasiek zjawił się w La Queyrie. Przyszedł, jak mówił, wyrazić swoje ubolewanie.

Pascal z Placydem byli w polu. Pani Katarzyna przygotowywała strawę dla bydła.

Jasiek zastał więc samą tylko Milcię, ale też i dla niej jedynie przyszedł. Ucieszony niezmiernie, że mu tak przypadek usłużył, powitał ją zręcznym komplementem.

— Ah, to ty, Jaśku — rzekła dziewczyna, witając gościa. — Znalazłeś więc drogę do La Queyrie?

— Czy to ma być wymówka? — zapytał młody człowiek.

— Nie... a właściwie tak, jest to wymówka, żeś sobie dawniej o nas nie przypomniał.

Milcia była dobrą dziewczyną i pełną ufności, jaką dobroć wzbudza. Potrzebując się wywnętrzyć przed kimkolwiek, wdała się z Jaśkiem w jedną z tych poufnych gawędek, w których chętnie spowiadamy się z najtajniejszych naszych wesołych i smutnych myśli i uczuć.

Opowiadała mu o Piotrusiu, mówiła, jak bardzo go kocha, i że kocha go od najmłodszych lat dziecięcych.

Dla Jaśka było to przypomnieniem nienawistnych mu czasów.

— O tak, wiem, żeście się już wtenczas kochali. Dziećmi będąc chodziliście razem nad rzekę. Przypominam to sobie. Chodziłem i ja za wami. Spoglądałem na ciebie z daleka... Ale ty mnie nie widziałaś. Twój uśmiech był tylko dla Piotrusia, mnie uważałaś za wroga, a mnie to okropną przykrość sprawiało.

— Biedny Jaśku! — rzekła z współczuciem, podając mu rękę.

Jasiek ścisnął mocno tę rękę i mówił dalej:

— I ja także kochałem cię, Milciu... niemniej od niego... i tak samo kocham cię dziś jeszcze! Nie czyń mi krzywdy, Mileczko, nie odpychaj mnie od siebie!

— Ah, Boże mój! — zawołała Milcia, spoglądając nań z przestrachem. — To ty zawsze go nienawidzisz, Jaśku!

— Ja o nim nie mówię, Milciu; ja mówię, że ciebie kocham.

— Puść mnie, nieszczęsny! — krzyknęła dziewczyna i wyrwawszy dłoń swoją z jego uścisków, dodała stanowczym głosem: — Wychodź stąd!... i jeżeli nie jesteś nieprzyjacielem samego siebie, noga twoja więcej tego progu nie przestąpi! Zrozumiałeś?

— Chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa! — zawołał nędznik, rzucił na nią złowieszcze spojrzenie i wybiegł rozjątrzony, dyszący zemstą, z błędnem okiem, jakby już zbrodnię popełnił.

XXVIII.

— Niezręczny, niedołęga! — robił sobie wyrzuty, uciekając bez opamiętania. — Wszystko popsułeś swojem grubiaństwem!... Teraz trzeba będzie na nowo zaczynać! O, niedołęgo!

— Nie mogłeś się pohamować jeszcze, głupie bydlę! — wymyślał sobie z wzrastającym gniewem. — Tą przeklętą gwałtownością zgubiłem całą sprawę. Z pewnością, wszystko stracone! Teraz nie ma już żadnego sposobu ułaskawienia tej hardej turkaweczki. I to ja musiałem jej ustąpić! Oh, ta Milka! Sam już nie wiem, czy ją kocham, czy nienawidzę! Czemuż na jej miejscu nie zastałem tego mazgaja Piotrusia? Jemu przynajmniej mógłbym pogruchotać kości. Ale przyjdzie kolej i na niego! O, że przyjdzie, to przyjdzie... chybaby sam czart stanął w jego obronie!

Spostrzegł na ziemi uwijającego się wśród trawy zielono-żółtawego chrząszcza — podniósł nogę i zadeptał go z wściekłością...

XXIX.

Na rynku w Saint-Alvere Filip w towarzystwie małego piętnastoletniego chłopaka, zrzucał siano z wozu. Z podwyższenia tego, spostrzegł Jaśka wracającego w kierunku od La Queyrie, z głową spuszczoną na piersi.

— Aha! — pomyślał sobie. — Zachciało się jegomości owoców z cudzego ogrodu, ale musiała mu jego księżniczka nie bardzo być rada, bo jakoś kwaśny powraca... Hej, Jaśku! — zawołał. — A tobie co się stało?

— Mnie nic — odpowiebział Jasiek podchodząc do wozu. — Ale owszem, stało mi się... ta Milka, to djabeł nie dziewczyna!

— One wszystkie takie!

— Zejdźno, wstąpimy do winiarni. Opowiem ci wszystko dokładnie.

Filip zeskoczył z wozu i zawołał na chłopaka:

— Słuchaj no, Julku, zrzucaj siano, ja za chwilę wrócę... a pamiętaj, pilnuj wołów!

— Dobrze! — odrzekł krótko chłopak.

Filip z Jaśkiem poszli do winiarni na rogu rynku i ulicy Wielkiej.

Jeszcze dziesięciu minut nie siedzieli przy butelce, kiedy na rynku zjawił się Piotruś. Przybiegł z odkrytą głową, zmęczony i rozgorączkowany. Jednym rzutem oka rozglądnął się po placu, dość pustym o tej porze, a spostrzegłszy jednego tylko znajomego, Julka, podszedł do niego i zapytał, czy nie widział przypadkiem dużego Jaśka.

— Co nie miałem widzieć? — odparł chłopak. — Był tu przed chwilą i poszli z Filipem do Lamberta na wino... Ino ich patrzeć!

Piotruś nie słuchał gadaniny chłopca i podążył do winiarni.

Wszedł do obszernej słabo oświetlonej sali; przy zwykłych sosnowych stołach siedzieli tu i owdzie wieśniacy, popijając wino, piwo albo i wódkę.

Z progu już spostrzegł w najciemniejszym kącie sali tego, którego szukał, stłumionym głosem rozmawiającego z Filipem.

Oczy mu zapłonęły gniewem, pięści konwulsyjnie zacisnął i poszedł wprost ku niemu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BOCIANY ODLATUJĄ.

...Po rżyskach, rozległych ugorach i łąkach zbierają się bociany na walne narady.

Gospodarze z pól pozbierali już plon doroczny, sprzęt spoczywa pod dachem, po stodołach i spichrzach.

Bociek, gospodarz dobry, co przez całą wiosnę i lato pól tych pilnował i w błękicie nad niemi zataczał szerokie kręgi, prostuje obecnie skrzydła do odlotu. Kalendarz on zna, wie, jak powiada nasz lud, że na świętego Bartłomieja, 24 sierpnia, na niego już czas. Ale bociek to nie maszynista kuryerskiego pociągu, któremu nie wolno się spóźnić. Dlatego bociek przygotowuje się do odlotu powoli i z rozwagą, bo mu nie spieszno, bo mu żal tych pól, co były malowane zbożem rozmaitem, wyzłacane pszenicą, posrebrzane żytem, z których jednak obecnie smętek wieje i pustka, na których on się wyżywił i swe dzieci wychował. Bociek zbiera się powoli, bo wie, że droga daleka, że mu należy naprzód naradzić się i porachować z siłami.

Dlatego teraz gwarno jest po stałych miejscach odlotów bocianów. Zlatują się karne gromady z całych okolic, klekot napełnia powietrze. Jakie wśród nich swary i zwady a nawet bójki! Powiadają ludzie, że nawet i plotki kwitną i obmowy.

Stary prowodyr dalekich wędrówek, przewodnik dobry, zabiera głos. Przytakuje mu cała gromada, w takt kiwa poważnie głowami lub lekko unosi skrzydeł. Opozycyi tam niema, ni odwoływania się do walnego zgromadzenia. Kogo stary bociek uzna za niezdolnego do odlotu, ten albo ginie na miejscu pod dziobami współbraci, albo też, gdy życie wyprosi, pozostaje na miejscu na zimowisko i żyje potem z łaski ludzi. Takie to już bocianie zwyczaje, takie ich prawa odwieczne.

A kiedy się gromada już raz zerwie do odlotu, tedy towarzyszą jej życzenia smętne tego z ziemią związanego ludu, życzenia drogi szczęśliwej i szczęśliwego powrotu. I wtedy próżno za bocianem wypatrywać oczy — nie ujrzeć go, aż — da Bóg — na drugi rok na św. Józefa.

Gdy zaś się skończą bocianie sejmy, wtedy pola pustoszeją jeszcze bardziej i jesień smutna roztacza wyłączne panowanie nad niemi...

ŻARTY.

APETYCZNY PLACEK.

— Panie, w tym placku, który od pana wczoraj kupiłem, były aż trzy karaluchy!

— No, ale reszta to były rodzynki?

W RESTAURACYI.

Siedzi sobie przy stole dwóch panów. Jeden z nich nagle wstaje, zdejmuje z powieszadła palto i kładzie je obok siebie na krzesło. Drugi uśmiecha się pobłażliwie i powiada:

— Pan, zdaje się nie dowierza tutejszym gościom? Któżby nam w tak porządnym lokalu kradł naszą garderobę?

— Nie wiem, — odpowiada pierwszy, — ja tylko pilnuję swego płaszcza, bo przed chwilą ktoś ubrał się w pański i wyszedł.

MĄDRA

S ł u ż ą c a: To pani odciąga za tę wazę com stłukła?

P a n i: No spodziewam się. Przecież mogłaś uważać.

S ł u ż ą c a: To trzeba mi było powiedzieć, że pani odciąga, jak się co stłucze, jabym wtedy była uważała.